SWINGING 60.

czas znaleziony

Swingujący Londyn: art & drugs & rock'n'roll

Być może interesujące byłoby prześledzić, jak w polskiej rzeczywistości lat 60. wyglądały relacje między środowiskiem muzyków i światem sztuki, plastyków, filmowców itd. Oczywiście siłą rzeczy nie mogły one przypominać tego, co działo się w ówczesnym „ Swingującym Londynie” - centrum światowej popkultury, gdzie w tamtych szalonych latach 60. nastąpiła eksplozja muzyki pop, sztuki, designu, fotografii i mody. Może warto tu przypomnieć, że Londyn ze swoimi muzycznymi klubami, jak Marquee (siedziba jazzu i R'n'B) długo opierał się amerykańskiej inwazji rock'n'rolla, którego początkowo nie traktowano poważnie uważając, że w przeciwieństwie do jazzu jest muzyką prostacką, prymitywną. Ale już w I połowie lat 60. na brytyjskiej scenie muzycznej zwirowało, wybuchła beatlemania, a Rolling Stonesi kreowani byli na antybohaterów brytyjskiego popu („*Czy pozwoliłbyś swojej swojej córce wyjść za mąż za Stonesa”*). Sami muzycy głosili: „ *Sikamy, gdzie chcemy”* (jak kiedyś dadaiści żądali prawa do sikania na kolorowo), a rozwydrzone groupies – jak wspomina K. Richards „ *próbowały zdobyć gipsowe odlewy kutasów wszystkich muzyków rock'n'rollowych. Mojego nie zdobyły”*. Stonesom i Beatlesom towarzyszyły mitologie, które definiowały ich tak, jak sama muzyka, byli królami życia, byli bogaci, uwielbiani i mieli nadprzyrodzone sukcesy. Świat oszalał, wszędzie było o nich głośno, oni sami – w ramach rock'n'rolla podnieśli wrzask do rangi środka artystycznego, wystarczy posłuchać, jak wrzeszczy McCartney w klasyku Little Richarda „ Long Tall Sally” czy w „Helter Skelter”...

Musiały upłynąć lata, aby rock'n'roll okazał się czymś więcej niż tylko rozrywką dla nastolatków, stając się środkiem ekspresji ważnym na równi z kinem, literaturą czy sztukami plastycznymi. W kręgach londyńskiej bohemy zawiązały się intelektualne więzi między młodymi gwiazdami muzyki pop i rock'n'rolla, a nieco starszymi artystami pop-artu, który to nurt wyprzedził falę młodzieżowego buntu lat 60. po obu stronach Atlantyku. W Londynie słynna była wówczas Galeria Roberta Frazera, której marchand stał się przyjacielem artystów. Legendarne były też prywatki w jego mieszkaniu przy Mount Street 20, na których bywali: Marlon Brando, John Lennon i Paul McCartney, Mick Jagger i Keith Richards ze swoimi muzami: Marianne Faithfull i Anitą Pallenberg. On też zabezpieczał środki (LSD i in.) powodujące podróże artystów na „ wyższy stopień świadomości”. Pod wpływem Frazera i halucynacji McCartney zainteresował się twórczością Rene Magritte'a, kupował też jego surrealistyczne obrazy. Frazer namówił znanego malarza Petera Blake'a , aby ten zaprojektował okładkę albumu Beatlesów „ Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band” w 1967 roku i było to pop-artowskie spojrzenie na historię muzyki i filmu, a okładka przeszła do historii jako ikona cover art. Brał też Frazer udział w słynnej, zakończonej skandalem prywatce w Redlands – wiejskiej rezydencji K. Richardsa (działo się to tuż przed

koncertami Rolling Stonesów w Warszawie). Heroina krążyła w żyłach i w ogóle się działo (podobno w czasie nalotu policji Mick miał oblizywać batonik Marsa wetknięty w vaginę Marianne). Jaggera i Frazera wyprowadzono w kajdankach, a słynne zdjęcie z ich aresztowania wykorzystał R. Hamilton w swoim znanym collage'u „ Swingeing London”. Rok później (1968) ten prekursor pop-artu „wybielił” Beatlesów projektując okładkę ich albumu („ Biały album”).
Dla zwykłego świata był „ swingujący Londyn” abstrakcją, plotką o złym zachowaniu, beztroską zabawą. A film „ Performance” (z udziałem Jaggera), podobnie jak „ Powiększenie” Antonioniego miały ukazywać ciemną stronę miasta, w którym miejsce kwasu i alkoholu zajęły igły, broń i trawka...

postscriptum.
Mając w pamięci katalog filmów z udziałem muzyków całego tego rock'n'rollowego cyrku (co zasługuje na osobny szkic), interesujące też jest, że wielu z nich było niezwykle uzdolnionych plastycznie, studiowali w londyńskich szkołach plastycznych, a jeden ze Stonesów – Ron Wood (fascynujący się twórczością Rembrandta) od wielu lat maluje i odnosi międzynarodowe sukcesy, o czym świadczy jego tegoroczna wystawa obrazująca koncerty Rolling Stonesów..

Kolacja mistrzów: McCa – Zorn

Myślę sobie, że ludzie z wyobraźnią (w tym muzykoholicy) miewają czasem różne dziwaczne ekstrawaganckie projekcje, sny czy wyobrażenia (z udziałem swoich idoli czy innych sławnych artystów) w rodzaju tej znanej „ Kolacji na cztery ręce” autorstwa niemieckiego muzykologa Paula Bartza, sztuki, której – przypomnę akcja rozgrywa się w XVIII wieku i opiera na fikcyjnym spotkaniu dwóch genialnych kompozytorów baroku: J. F. Haendla - „ króla muzyki” zwanego „ czarującym potworem” i skromnego kantora z kościoła św. Tomasza w Lipsku – J. S. Bacha.

Otóż mam wyobrażenie pewnej sztuki – taki jazzowo-rock'n'rollowy odpowiednik tamtej barokowej kolacji, która odbywała się w Hotelu Turyńskim w Lipsku i myślę, że chyba najlepsza sceneria dla spotkania moich mistrzów znajduje się w legendarnym Hotelu Chelsea na nowojorskim Manhattanie, wypełnionym dziełami sztuki, w którym przez całe lata spotykali się, mieszkali, tworzyli i umierali sławni artyści, muzycy i pisarze i który był inspiracją dla twórców (hotel w piosenkach Boba Dylana, Jefferson Airplane, Joni Mitchel i in. czy w znanym filmie A. Warhola „ Chelsea Girl”).

Właśnie tam, na tej mojej wyimaginowanej kolacji mistrzów spotkają się dwaj współcześni artyści – kompozytorzy (którzy latem tego roku dali znakomite koncerty w Polsce) - créme de la créme światowej sceny muzycznej: „ geniusz postmodernizmu” i guru nowojorskiej downtown – John

Zorn i największy żyjący i koncertujący Beatles – Paul McCartney, którego Hendrix tuż przed śmiercią widział w swojej wymarzonej, przekraczającej granice gatunków supergrupie (obok Milesa Davisa). O czym będą rozmawiać podczas tej zaimprowizowanej kolacji na Manhattanie? Przy całej swojej muzycznej odmienności mają ze sobą wiele wspólnego – John (podobnie jak Paul) jako nastolatek grał na basie w kapeli surfowej, pewnie też słuchał Beatlesów, którzy mieli wówczas – w połowie lat 60. głośne trasy koncertowe po Stanach. Potem obaj interesowali się twórczością wybitnych artystów awangardowych (J. Cage, Stockhausen). Zorn międzynarodową sławę zyskał nagrywając albumy m.in. z pastiszami muzyki E. Morricone do spaghetti westernów i sadomasochistycznej pornografii. Ale muzycznym terrorystą stał się na przełomie lat 80. i 90. powołując do życia ekstremalne formacje: Naked City i trio Painkiller, a następnie kwartet Masada. Przypominam to wszystko, bo dobrze pamiętam koncerty tych jego grup na festiwalach Warsaw Summer Jazz Days, a także to, jak w roku 1998 bezceremonialnie wyraził swoją niechęć do fotoreporterów pod sceną Sali Kongresowej (*„ Jesteśmy pierdolonymi Żydami z Nowego Jorku i nie przyjechaliśmy tutaj, by pozować do zdjęć, ale żeby grać”*). Jest też Zorn współtwórcą słynnego klubu The Knitting Factory, który stał się świątynią kreatywnej sceny downtown, gdzie miałem okazję bywać podczas pobytów w Nowym Jorku.

Z pewnością obaj artyści(oszczędzając sobie różnych złośliwości, jak to było podczas kolacji Haendla i Bacha)– siedząc na podłodze, pochylą się nad kwestiami kompozycji i dyrygowania.

Paul- jak wiadomo – wszechstronnie wykształcony wybitny kompozytor trzymał rękę na pulsie podczas wielogodzinnych prób i nagrań Beatlesów przez całe lata, m.in. wtedy, gdy w czasie nagrywania albumu „ Sgt. Pepper's...” wymyślił muzyczny performance, jakim było 24-taktowe glissando w „ Day in the Life”, zagrane przez 40 muzyków, z których każdy grał, niezależnie od pozostałych wędrówki na swoim instrumencie. Performerem jest też niewątpliwie John, który wymyślił tzw. utwory gry (game pieces), w których kompozytor tworzy reguły gry, zaznajamia z nimi muzyków, a następnie zamienia się w dyrygenta pilnującego jej prawidłowego przebiegu (co było doskonale widać podczas jego występów w Polsce).
Nie wiem, czy McCa – autor wielu niezapomnianych piosenek, które weszły do kanonu światowej muzyki rozrywkowej jest fanem twórczości Zorna (w której pomieścił on niemal całą XX-wieczną muzykę), ale tu interesującym pretekstem do dyskusji może być to dość zaskakujące wyznanie Johna – zdeklarowanego freaka: *„ Znalazłem w sobie odwagę do pisania ładnych melodii”* (co zaprezentował na tegorocznym koncercie w Warszawie („ Song Project”).
Na koniec można by się jeszcze zastanowić nad menu tej kolacji mistrzów w Hotelu Chelsea? być może odpowiedź znajduje się w jednym z najbardziej znanych utworów McCartneya
- „ Yesterday”.Ta romantyczna ballada ponoć pierwotnie miała mało wyrafinowany, absurdalny tytuł: „ Jajecznica” i zaczynała się jakoś tak: *„ Jajecznica i pierogi, och, jak kocham twoje nogi”*...

Piekło muzykantów: Stonesi u Boscha

Na koniec jeszcze chciałbym się uwolnić od innej mojej, diabelskiej imaginacji inspirowanej magią i tajemnicą długowieczności Rolling Stonesów. Ci goście – latem tego roku mieli jubileuszowe koncerty 50-lecia w londyńskim Hyde Parku, a nie tak dawno świetnie prezentowali się „ W blasku świateł” („ Shine A Light”)- filmie M. Scorsese. I – jako żywo daleko im do owych staruszków ze „ Stu lat samotności” Marqueza, które wlazły do trumien (bo przecież pora umierać) i żyły w nich przez długie dziesięciolecia, żywiąc się śmietaną i miodem. Więc do Stonesów – bardziej niż ten funeralny – pasowałby mi kontekst faustowski z motywem pragnienia wiecznej młodości, choćby za cenę paktu z diabłem. Byli zresztą, jak wiadomo o tego rodzaju praktyki podejrzewani („ Symphaty for the Devil” - utwór inspirowany „ Mistrzem i Małgorzatą” Bułhakowa). Podobno o demonach wiedziały wszystko dwie słynne dziewczyny – muzy Stonesów, ważne dla uformowania się klasycznego stylu zespołu: piękna i mroczna modelka Anita Pallenberg nazywana „ żeńską wersją Ch. Berry'ego” i Marianne Faithfull - „ anioł z dużymi cyckami”, anielska istota z „ As Tears Go By”, aktorka, która sama wcieliła się w rolę diabła i która uważa, że to diabeł stoi za najlepszymi piosenkami w historii rocka: *„ Posłuchajcie tych wszystkich hitów Rolling Stonesów”*.

O szerzenie satanizmu muzyka rozrywkowa podejrzewana była od dawna – już w latach 30. XX w. legendarny bluesman Robert Johnson (jeden z guru Stonesów) miał sprzedać duszę diabłu w zamian za mistrzowskie opanowanie gry na gitarze. Inna wielka ikona rock'n'rolla Little Richard, gdy został pastorem w Kościele Adwentystów Dnia Siódmego wyznał: *„ Rock'n'roll to szatańska muzyka. Owszem, byłem w rock'n'rollu, ale teraz przez resztę życia chcę odpokutować za grzechy”* (śpiewa gospel, negro spirituals, pieśni sakralne).

Można by powiedzieć, że wszystkie te diabelskie tropy prowadzą wprost do... piekła. Sam Keith Richards w swojej ekshibicjonistycznej autobiografii „ Życie” zastanawia się: *„Skąd się wzieliśmy? Może z piekielnych czeluści?”*Uważa się też za „ Księcia Ciemności”, „ najbardziej elegancko zmęczonego faceta na świecie”. I jeszcze daje swoją własną definicję piekła: *„ Siedzisz na chmurce, trzymasz harfę, ale nie masz z kim grać, bo nikt cię nie widzi. To jest właśnie piekło”*.

Ta harfa Keitha i w ogóle cały ten infernalny kontekst przywodzą mi na myśl jedno z najsławniejszych dzieł światowego malarstwa – tryptyk z XV w. „Ogród rozkoszy ziemskich” Hieronima Boscha, w którego prawym panelu znajduje się „ Piekło muzykantów”. Tylko w tym piekle nie ma chmurek i się nie gra, jakby chciał Keith. Są za instrumenty jako narzędzia tortur, na harfie ukrzyżowano grzesznika, a grupa muzykantów katowana jest nieznośnymi dźwiękami. Bo piekło to jest to, do czego prowadzi świat pełen rozpusty, w którym to świecie muzyka interpretowana była wówczas (XV w.) jako niebezpieczna i zachęcająca do rozwiązłości.

Czy więc Rolling Stonesi, którzy-jak głosi legenda – przez całe lata byli wcieleniem zła dla wielu ludzi zmuszonych trzymać swoje córki pod kluczem, więc - czy te upadłe anioły, typy spod ciemnej gwiazdy uosabiające rock'n'rollową rozpustę – nie komponowaliby się jakoś w tym boschowskim inferno? Choćby przez jeden piekielny sezon?

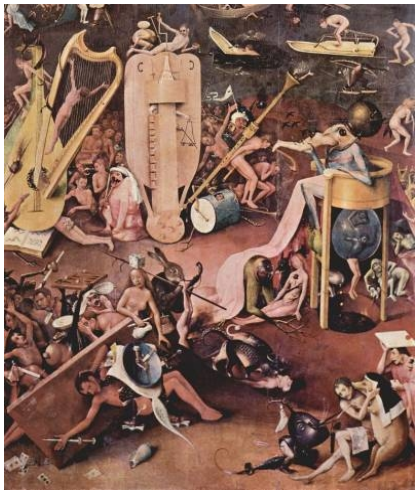

Może niech to tylko pozostanie taką moją diabelsko-rock'n'rollową imaginacją...